



MUZEUM
DOMKÓW DLA LALEK



PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA
MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWY



NIE TYLKO
BAZYLISZEK

KONKURS PLASTYCZNY

WSPÓŁCZESNE INTERPRETACJE LEGEND WARSZAWSKICH W MINIATURZE

TERMIN NADSYŁANIA PRAC DO 30 KWIETNIA 2018

REGULAMIN NA STRONIE MuzeumDomkow.pl

PATRONI MEDIALNI I PARTNERZY PROJEKTU



Polskie Radio
dzieciom

Pałac Kultury i Nauki
Warszawa

MAGAZYN DLA DZIECI
ŚWIERSZYK
Prószyński i S-ka

POLSKIE RADIO
RDC
Radio dla Ciebie

czasdzieci.pl
Portal informacyjny o kulturze

Bazyliśzek
RESTAURACJA SŁONE MIASTO WARSZAWA

www.warszawa.pl

PRZEDSZKOLA.edu.pl



Juniorowo.pl
dzieci - rodzice - szkoła

Lednebebe.pl



GRANNA

Qlturka.pl
dziecko i kultura



NIE TYLKO BAZYLISZEK

KONKURS PLASTYCZNY

WSPÓŁCZESNE INTERPRETACJE
LEGEND WARSZAWSKICH W MINIATURZE

MuzeumDomkow.pl

REGULAMIN KONKURSU

I ORGANIZATOR I PATRONAT HONOROWY

1. Organizatorem konkursu jest Fundacja Belle Époque oraz Muzeum Domków dla Lalek w Warszawie (Pałac Kultury i Nauki, Pl. Defilad 1, 00-901 Warszawa), e-mail: konkursy@belleepoque.pl.

Koordynator konkursu: Zofia Jusiak, tel. 517 490 047

2. Patronem Honorowym konkursu i wystawy jest Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy.

II ZAŁOŻENIA KONKURSU

1. **Temat:** miniaturowa, przestrzenna praca plastyczna, będąca współczesną interpretacją legendy warszawskiej wybranej z dwunastu wymienionych w punkcie II.4. Teksty legend znajdują się w opracowaniu załączonym do niniejszego regulaminu.

2. **Format:** praca musi być umieszczona na trwałej, sztywnej, kwadratowej podstawie o boku 12 cm. Wysokość płytki podstawy nie powinna przekraczać 1 cm. Szerokość i głębokość pracy nie może przekraczać wymiarów podstawy, zaś wysokość całej pracy (razem z podstawą) nie może przekraczać 20 cm. Dopuszcza się by drobne elementy pracy wystawały poza płytkę podstawy do 1 cm. Prace przekraczające podane wymiary zostaną zdyskwalifikowane. Uwaga: prace w gablotach ekspozycyjnych na wystawie pokonkursowej będą prezentowane na podstawkach stojących równolegle do krawędzi gabloty i nie będą ustawiane „na skos” – jednym z rogów w kierunku oglądającego.

3. **Technika:** dowolna trwała technika przestrzenna - praca może być wykonana w drewnie, metalu, słomie, filcu, szkle, papierze, masach plastycznych, technikach własnych, mieszanych i innych. Wszystkie elementy pracy muszą być w niej zamocowane na stałe. Organizator nie gwarantuje prawidłowego umieszczenia elementów pracy, jeśli zostaną one oderwane/uszkodzone podczas transportu lub będą przesłane luzem. Dopuszcza się dołączenie do pracy zdjęcia lub rysunku instruktażowego ukazującego sposób ustawienia i eksponowania pracy. Prace z zamontowanymi własnymi źródłami zasilania będą podlegały ocenie, jednak Organizator nie gwarantuje zgodnego z zamysłem twórców działania i eksponowania takich prac. Dopuszcza się użycie gotowych elementów w wyposażeniu lub konstrukcji miniaturowej.

4. **Kategorie:** wszystkie prace będą oceniane w dwunastu kategoriach tematycznych:

1. BAZYLISZEK
2. WARS I SAWA
3. PUSTELNIA TRZECH KRZYŻY
4. MIESZKO KAMIENNY
5. ŻŁOTA NIGDY RDZA NIE CHWYCI
6. LEGENDA O ZAPIECKU
7. PĘKNIĘTY DZWON NA KANONII
8. O BASI GIŻANCE
9. MALOWIDŁO W KRUŻGANKU
10. KOMU CHLEB SPLEŚNIAŁY STANIE ZA SPECJAŁY
11. ŻŁOTA KACZKA
12. LEGENDA O TARCZY I MIECZU

5. **Uczestnicy:** ze względu na grupowy/rodzinny charakter konkursu, praca musi być wykonana przez co najmniej dwóch autorów. Nie ma ograniczeń wieku, narodowości ani miejsca zamieszkania autorów prac.

6. **Termin zgłoszenia:** aby wziąć udział w konkursie należy dostarczyć pracę osobiście bądź przesłać pocztą na adres Muzeum Domków dla Lalek, Plac Defilad 1 00-901 Warszawa z dopiskiem „konkurs” do 30 kwietnia 2018 r., do godz. 19:00. Decyduje data dostarczenia pracy.

7. **Formularze:** na spodzie pracy należy umieścić w sposób trwały Kartę Zgłoszenia Pracy (zgodnie z instrukcją) oraz do przesyłki dołączyć wypełnione i podpisane Karty Zgłoszenia Uczestników. Plik PDF z formularzem jest dostępny na stronie www.muzeumdomkow.pl. Każdy autor pracy wypełnia jedną kartę zgłoszenia uczestnika. W przypadku autorów niepełnoletnich formularz wypełnia rodzic lub opiekun prawny. Uwaga: formularze muszą być wypełnione i podpisane odręcznie w sposób czytelny. Kserokopie, skany i zdjęcia formularzy nie będą przyjmowane. Brak poprawnie wypełnionego formularza dyskwalifikuje pracę.

8. **Tytuł:** Każda praca zgłoszona na konkurs musi mieć nadany indywidualny, autorski tytuł nie będący nazwą kategorii. Tytuły takie jak „Bez nazwy” bądź „Żłota kaczka” dyskwalifikują pracę. Prace bez tytułu nie będą zakwalifikowane do udziału w konkursie. Tytuł oraz imiona i nazwiska autorów prac, należy wpisać w Karcie Zgłoszenia Uczestnika oraz w Karcie Zgłoszenia Pracy.

9. **Liczba prac:** Każdy zespół autorski może zgłosić do konkursu dowolną liczbę prac, jednak nie więcej niż jedną w danej kategorii.

10. **Opłata:** udział w konkursie jest bezpłatny.

11. Wystawa pokonkursowa: nagrodzone i wyróżnione prace będą prezentowane na wystawie pokonkursowej w Muzeum Domków dla Lalek w Warszawie.

12. Postanowienia dodatkowe: prace nadesłane na konkurs stają się własnością Organizatora i wchodzi w skład kolekcji Muzeum Domków dla Lalek. Organizator nie zwraca prac nadesłanych na konkurs. Organizator zastrzega sobie prawo do publikacji zdjęć nadesłanych prac w dowolnych formach i bez ograniczeń terminowych, z możliwością podania imion i nazwisk autorów prac. Prace nagrodzone i wyróżnione w konkursie będą prezentowane na wystawie czasowej w Muzeum Domków dla Lalek.

13. Udział w konkursie jest równoznaczny z akceptacją warunków regulaminu oraz wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych w celu rejestracji uczestników (zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 o Ochronie Danych Osobowych, tekst jednolity: Dz. U. 2016 r. poz. 922).

14. Udział w konkursie jest równoznaczny z wyrażeniem zgody na fotografowanie oraz wykorzystywanie wizerunku osób biorących udział w rozdaniu nagród, w celu zamieszczania relacji i artykułów o konkursie w materiałach drukowanych, internetowych, na stronie Muzeum Domków dla Lalek oraz w mediach społecznościowych.

15. W konkursie nie mogą brać udziału rodziny pracowników Fundacji Belle Époque, Muzeum Domków dla Lalek, fundatorów nagród oraz członków Jury.

III. ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU I NAGRODY

1. Jury konkursu zostanie powołane przez Organizatora. Wyniki konkursu są niepodważalne. Protokół z posiedzenia Jury zostanie opublikowany na stronie www.muzeumdomkow.pl 1 czerwca 2018 r.

2. Jury przyzna Grand Prix i 3 nagrody główne w konkursie ogólnym oraz wyróżnienia w poszczególnych dwunastu kategoriach. Organizator zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród, nieprzyznania nagród oraz utworzenia i przyznania nagród dodatkowych.

3. Laureaci konkursu oraz osoby wyróżnione otrzymają dyplomy pamiątkowe, nagrody rzeczowe oraz zaproszenia do Muzeum Domków dla Lalek.

4. Autorzy prac prezentowanych na wystawie czasowej otrzymają dyplomy pamiątkowe i zaproszenia do Muzeum Domków dla Lalek. Zostaną one do nich wysłane pocztą po ogłoszeniu wyników.

5. Laureaci konkursu zostaną poinformowani przez Organizatora o wynikach konkursu telefonicznie lub mailowo oraz zostaną zaproszeni na galę rozdania nagród.

6. Pełna lista prac zakwalifikowanych do wystawy pokonkursowej zostanie opublikowana na stronie www.muzeumdomkow.pl 1 czerwca 2018 r.

7. Organizator nie zapewnia noclegów i nie zwraca kosztów podróży laureatom konkursu.

PATRONI MEDIALNI I PARTNERZY PROJEKTU



Polskie Radio
dzieciom

PRZEDSZKOLA.EDU.PL



www.domkow4.pl



Pałac Kultury i Nauki
Warszawa



RESTAURACJA STARE MIASTO WARSZAWA

www.warszawa.pl



Prószyński i S-ka



Radio dla Ciebie



Portal informacyjno-rozrywkowy



dzieci - rodzice - szkoła



MAGAZYN DLA DZIECI



dziecko i kultura



Ładnabebe.pl



LEGENDY WARSZAWSKIE

OPRACOWANIE PRZYGOTOWANE NA POTRZEBY KONKURSU PLASTYCZNEGO

NIE TYLKO BAZYLIŚZEK

Kopiowanie w całości lub fragmentów tekstu bez wiedzy autorów jest zabronione.

Opracowanie skrótów tekstów Zofia Jusiak i Aneta Popiel-Machnicka, na podstawie: Artur Oppman, *Bazyliśzek*, Zdzisław Nowak, *Przedziwna opowieść o Warsie i Sawie*, Artur Oppman, *Złota kaczką*, Hanna Łochocka, *Legenda o tarczy i mieczu*, Zdzisław Nowak, *Pustelnia Trzech Krzyży*, Anna Marta Zdanowska, *Mieszko kamienny*, Zdzisław Nowak, *Złota nigdy rdza nie chwyci*, Anna Marta Zdanowska, *Legenda o Zapiecku*, Anna Marta Zdanowska, *Legenda o pękniętym dzwonie na Kanonii*, Ewa Szelburg-Zarembina, *O Basi Giżance*, Maria Krüger, *Malowidło w krużganku*, Zdzisław Nowak, *Komu chleb spleśniały stanie za specjały?*

Oryginalne teksty legend można znaleźć w następujących źródłach:

Baśnie i legendy polskie, wyb. Elżbieta Brzoza, Wydawnictwo Nasza Księgarnia, Warszawa 2016

Krüger Maria, *Złota korona: opowiadania z historii Polski*, Nasza Księgarnia, 1980

Legendy warszawskie. Antologia, wyb. Anna Marta Zdanowska, Muzeum Warszawy, Warszawa 2016

Łochocka Hanna, *Legenda o tarczy i mieczu*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1989

Oppman Artur, *Legendy warszawskie*, Wydawnictwo Siedmioróg, Wrocław 1994

Szelburg-Zarembina Ewa, *Legendy Warszawy*, Czytelnik, Warszawa 1958



KONKURS PLASTYCZNY NIE TYLKO BAZYLIŚZEK
WSPÓŁCZESNE INTERPRETACJE LEGEND WARSZAWSKICH W MINIATURZE



B

AZY LISZEK

Na czasów króla Zygmunta Augusta, żył w Warszawie mistrz płatnerski - Melchior Ostroga z żoną i dziećmi – Halszką i Mackiem. Pewnego dnia, gdy dzieci na Rynek się wybierały, ojciec ostrzegł je, by za żadne skarby nie chodzili przez Krzywe Koło, gdzie w piwnicach zburzonego domostwa podobno lichy jakie osiadło i straszy.

A na Rynku - smaków, zapachów, kolorów co niemiara! Rodzeństwo oniemiało na te cudowności patrzy, a tu - znienacka - ktoś im oczy zasłania. Urwis Waluś to był, i choć taki mały - chciwiec nie lada jaki, złoto mu się jeno marzyło i klejnoty. Zaraz niebożątka zaczął namawiać, by razem szukać tych skarbów poszli, co je straszyciło w podziemiach na Krzywym Kole pilnuje. Sam bał się iść, a w trójkę jakoś tak rażniej. I choć Halszka słowa ojca przypominała, płakała, chłopców odciągała – poszli.

Odnaleźli zaraz wejście do piwnic zasypiane. Ruszył Waluś pierwszy w dół, po schodach, wszedł do korytarza podziemnego i nagle – westchnął jeno i na ziemię padł bez życia. Oczom zaś Macka i Halszki ukazał się stwór przedziwny: głowa kogucia na szyi węzowej, kadłub pękaty, czarnymi pióry cały pokryty, a nogi kosmate i pazury ostre. Zasię najstraszniejsze były ślipia tego potwora: jarzące się na czerwono i żółto, mocy złej pełne, a na kogo tylko stwór nimi spojrzął - ten zabity padał. Przerażone rodzeństwo, cichutko, przez potwora niezauważone, wśliznęło się za drzwi oparte o mur, aby skryć się przed śmiertelnościami spojrzeniem, ale wyjść i uciec z piwnicy przeklętej – nie mają jak.

Na szczęście ludzie, co schodzące do piwnic dzieci widzieli, zaraz Ostrogom o nieszczęściu donieśli. Ci pobledli, ręce załamali i w te pędy pobiegli na Piwną, do czarownika, jak lud nazywał doktora Fabułę, człowieka we wszystkich kunsztach i naukach doświadczonego. Na wieść o losie, który spotkał malców, zaszepił się mocno uczony i natychmiast rady nieszczęsnym rodzicom udzielił: „Bazyliuszka ubić trzeba, a tak, by wzrokiem własnym ugodzony został”.

Zdarzyło się, że tego dnia dokonać miał się los krawczyka oskarżonego o zabójstwo. Już kat topór nad karkiem skazańca podnosił - gdy wtem - nakazując wstrzymać egzekucję, bo śmiać taki jest potrzebny, co bazyliuszka zabije. Krawczyk nic do stracenia nie miał, a do zyskania - życie i wolność, przeto zgodził się bez wahania, i już po chwili, w zwierciadłach obwieszonych całego, wprowadzili go wprost do straszliwych podziemi. Wszedł do piwnic skazaniec, a lud warszawski wyczekiwał znaku jakiego. Wtem roznęła się głos przeraźliwy, diabelski... To bazyliuszka padł własnym wzrokiem zabity, co ogłosił krawczyk dzielny, wynosząc na drąg straszliwego potwora. A zaraz za nim u wejścia Halszka i Maciek się ukazali - cali, zdrowi, z trwogi pobledli jeno jak płótno. Radości wielkiej i wruszeniu nie było końca. Szkoda tylko Walusia, którego za chciwość kara aż nadto okrutna spotkała.

Bazyliuszka - ku uciechu ludu - kat zaraz na stosie spalił, ale opowieść o nim do dziś dnia budzi grozę. Dzielny krawczyk zaś okazał się niewinnym, jemu więc – rzec by można - bazyliuszka życie ocalał. A skarbów żadnych w lochach do dziś nie znaleziono. Co nie znaczy, że ich tam nie ma.

ZJ

W

ARS I SAWA

W czasach króla Kazimierza, zwanego później Odnowicielem, z Krakowa - gdzie król stolicę przeniósł - do prastarego Gniezna prowadziły dwie drogi. Pierwsza z nich przez dzikie puszcze, bory i trzęsawiska straszliwie wiodła, gdzie na podróży niebezpieczeństwa różne czyhały. Druga zaś prowadziła Wisłą - od podnóża Wawelu aż do Płocka, gdzie z łodzi schodzono i dosiadano koni, i tak ostatni jeno kawałek pokonywano lądem, co wyprawę całą czyniło znacznie znośniejszą.

Król Kazimierz, z roztropności swej znany, gdy z grodu królewskiego do siedziby arcybiskupów dostać się musiał - drugą z dróg wybrał – Wisłą. W podróży towarzyszyła mu drużyna wojów znakomitych i dworzan. Gdy po wielu dniach podróży w dół rzeki, ujrzał król na lądzie smugę dymu znad wysokiej kępy się unoszącą, przybić do brzegu zaraz kazał. Pomyślał, że jest tu pewnikiem chałupa rybacka, gdzie może strudzonych podróży ugoszczą dżbanem mleka i bochnem chrupiącego chleba. I na myśl tę król, od wielu dni o czerstwych plackach i mięsach suszonych, głód wielki poczuł i bez wahania ruszył w drogę przez las, razem ze swoim wojem najwierniejszym. Szli powoli i czujnie, jak lis co pod kurnik podchody urządza, bo kogo w chacie zastaną – czy zbójców, czy jeszcze gorszych ludzi - tego nie wiedzieli.

Ostrożność ta zbędną się okazała, bo od progu powitała ich ciepło gospodyni - żona Pietrka Rybaka, co z połowu na Wiśle jeszcze nie wrócił. Obejście skromne było, ale czyste i zadbane, a w kotłusie słodko dwa oseski spały. Długo na Pietrka Rybaka nie czekali, chlebkiem rumianym, masłem świeżo ubitym i rybką chrupiącą wszyscy się uraczyli, a gospodarze kogo gościli – do samego końca nie rozpoznali. A że strawa smaczna do pogawędki skłania, zwierzył się Pietrko nieznanym gościom, iż kłopot niemały ma, bo bliźniąt co na świat niedawno przyszły – chłopca i dziewczynkę – ochrzcić nie ma jak, bo do wioskowej kaplicy ksiądz rzadko zagląda. To podsunęło królowi myśl, w jaki sposób wynagrodzić tych prostych, a uczciwych ludzi, co ani talara od niego za gościnę przyjmą nie chcieli.

Dwa miesiące później, królowi powracającemu z Gniezna, dostojnicy znamienici towarzyszyli, a wśród nich sam ksiądz pleban. Za nimi zaś - dwie łodzie jadła i napitków wszelakich, aby chrzczony należyte wyprawic, bo ku radości i niespodziance rodziców - sam król Kazimierz ojcem chrzestnym bliźniąt został. Dziewczynka otrzymała imię Sawa, a chłopiec – Wars, zaś ich ojciec za swoją gościnność i dobre serce, rybakiem królewskim został, kawałek puszczy królewskiej otrzymał, i od tego dnia Piotrem Warszem miał być zwany. Król mądrze przewidział, że wokół zagrody gospodarnego Warsza osada piękna powstanie, a nazwa jej od rodu szlacheckiego rybaka pochodzić będzie. I tak też się stało - czy to na cześć Piotra Warsza, czy bliźniąt Warsa i Sawy – miasto wspaniałe, co w tym miejscu po latach wyrosło, do dziś Warszawą jest zwane.

ZJ

PUSTELNIA TRZECH KRZYŻY

Razu pewnego, książę Ziemowit, syn Konrada Mazowieckiego, bawiąc na Jazdowie, w kasztelu na skarpie nadwiślańskiej, wyprawił się na łowy do puszczy. Oddalił się nieco od swoich towarzyszy i w leśnej głębinie dostrzegł niedźwiedzia. Już, już sięgał po oszczep, ale cóż to - niedźwiedzisko człapie na dwóch tylnych łapach, a w przednich niesie dorodną bryłę złocistego miodu. Czy to dla niedźwiedzicy, czy dla niedźwiedziątek małych? Widok ten tak ciekawość książęcą rozbudził, że postanowił podążyć za zwierzem, a cichcem i przezornie, by niedźwiedź ogromny go nie zdybał.

Jak postanowił, tak uczynił, i raz po raz ukrywając się w zaroślach, poszedł śladami zwierza, aż ujrzał chałupę leśną z sosnowych pniaków wzniesioną. Smolarze jacy, czy drwale się w niej kryją? A może to sam niedźwiedź siedzibę na wzór ludzkiej sobie przyrządził? Tymczasem z chałupki wychodzi trzech starców - chudych, bosych i przez wiek sędziwy mocno ku ziemi pochylonych. Pustelnicy to byli, święci staruszkowie, co o zwierzyńę troszczą się, leczą z wszelkich ran, w nieszczęściu pomagają, a których dobra sława całe Mazowsze obiegła. To dla nich niedźwiedź, z wdzięczności niechybnie i przyjaźni, miód leśny własnymi łapami przydzwigał.

Gdy tylko pustelnicy ujrzeli księcia, powitali go z otwartymi ramionami i skromnym poczęstunkiem go uraczyli. Pogawędzili chwilę o tym i owym, lecz księcia pustelnicy w wędrowcu nie rozpoznali, na szczęście, bo ten łacno chciał się o życiu pustelników czegoś dowiedzieć, a godność jego mogłaby starców łatwo w konfuzję wprowadzić. Ci zaś opowiedzieli mu o tym, że ze zwierzętami leśnymi w tak wielkiej przyjaźni żyją, iż te same o ich pożywienie dbają: wiewiórki znoszą im orzechy, zajęce dziką marchew i kalarepę, jeże jabłka na grzbietach przynoszą, borsuk maliny i jeżyny zbiera, a zaskrońce - borówki. I tak o strawę martwić się nie muszą, choć przecie nie z brzucha pełnego szczęście największe bierze się, lecz z dobrych uczynków.

Wracając do kasztelu swego książę długo jeszcze rozmyślał nad roztropnymi słowami pustelników. I później też pamiętał o nich, a od czasu do czasu przesyłał starcom kosz pełny jadła, którego w lesie uświadczyć nie mogli: ryby, kasze a serów różności. Pewnego razu jednak pacholek wrócił do księcia ze straszną wieścią - na pustelnię zbójcy napadli, bo w koszach książęcych nie jadła się spodziewali lecz skarbów, a pustelników związali i pognali w środek lasu. Książę posłał swą drużynę na ratunek, lecz po staruszkach ślad zaginął.

Na pamiątkę dobroci i mądrości trzech mężów, w miejscu pustelni książę kazał postawić trzy wielkie krzyże z modrzewiowego drewna, tak wielkie jak serca pustelników. Od tamtej pory polana ta zwana była Pustelnia Trzech Krzyży. A gdy na miejscu puszczy miasto Warszawa powstało, miejsce to nazwano placem Złotych Krzyży, a następnie placem Trzech Krzyży i tak do dziś pozostało.

ZJ

MIESZKO KAMIENNY

Dnia pewnego, książę Mazowiecki, Janusz I, udał się w bory zakroczymskie na łowy, w miłym towarzystwie ukochanej żony Danuty i wiernej drużyny. Wyprawa ta wielce była owocną, bo pełne wozy ptactwa wszelakiego, dzików, łosów i inszej zwierzyny wieziono. Już wracać do dworu mieli, gdy ogary odnalazły kryjówkę niedźwiedzią. Niedźwiedzica, by młode bronić, rzuciła się na psy, i już, już jeden z dworzan strzelić miał do niej z łuku, gdy rychło oczom zebranych widok ukazał się niesłychany - z jamy niedźwiedziej chłopiec jakowyś wytonił się i niedźwiedzicę własnym ciałem zastronił. Pochwyciła chłopca księżna Danuta i dowiedzieć się próbuje czyj on i skąd. A chłopiec nic, tylko pomruki jakieś wydaje z siebie i na niedźwiedzią jamę wskazuje. Serce miękkie i troski pełne miała Danuta, postanowiła więc chłopca prosto na dwór zakroczymski zawieść. I tak chował się malec z córką i synami książęcymi, a na imię Mieszko mu dano. Niedźwiedzicę zaś i jej młode - oszczędzono.

Rósł Mieszko na męża krzepkiego i postawnego, a i mowy, i życia dworskiego szybko się nauczył. Wkrótce młodzieniec zyskał szacunek rycerstwa, bo równo w walkach na pięści, jak i we władaniu mieczem przednio sobie radził, a w bój szedł chętnie i bez lęku. Jen o serce niewieście Mieszko nie miał odwagi starać się, bo zbyt dzikim i nieokrzesany m zdawał się sam sobie. A że leśne ostępy drugim jego domem były, chętnie w pojedynkę przemierzał puszcę, a tak uważnie, by żadnemu ze zwierząt krzywdy jakiej nie uczynić, a i do swej leśnej mamy też czasem zaglądał.

I słusznie Mieszko lasy i bory nad książęce przybytki przedkładał, bo właśnie wizyta na dworze warszawskim stała się przyczyną jego wielkiej niedoli. Tam właśnie będąc, ujrzał cudną Jadwiżkę - pannę o licu anielskim i włosach mieniących się wszystkimi odcieniami złota. Widok jej sprawił, że serce mieszkowe niespokojnie biło, a w głowie postanowienie twarde powstało: albo Jadwiżkę za żonę pojmie, albo zginie marnie. A panna też okiem chętnym, jak się zdaje, na księcia patrzyła.

Po wyprawie wojennej, co kilka miesięcy trwała, lecz myśli Mieszka od Jadwiżki nie odwróciła, udał się młodzieniec do Fary, by w chłodnych kościelnych murach o zrękowinach w spokoju podumać. Tymczasem w Farze trwały akurat zaślubiny, lecz po prawdzie książę zbyt w myślach swych pogrążony był, aby ceremonię obserwować. Gdy nowożeńcy opuszczali kościół - Mieszko raptownie wybiegł za orszakiem ślubnym, bo myśl go czarna ukłuła. Przeczucie nagłe ziściło się - oto przed kościołem stała Jadwiżka, poślubiona wbrew swej woli innemu. Nieszczęsny Mieszko zaskomlał dziko i osunął się na ziemię bez życia, lecz w ostatniej chwili szeptunka, co szczęśliwie obok przechodziła, zatrzymała jego duszę na ziemi i zamieniła księcia w kamiennego niedźwiedzia.

I do dziś na Świętojańskiej, przy kościele Jezuitów, kamienny niedźwiedź czeka, by obudziła go dziewczyna, która miłością prawdziwą a czystą - czar z Mieszka zdejmie.

ZJ

ZŁOTA NIGDY RDZA NIE CHWYCI

Młodziutki Książę Konrad Mazowiecki powrócił do Jazdowa po dwóch latach niewoli, skąd wykupiono go za wiele sztuk złota. To w tym grodzisku ojca mu ubili, a jego samego pogнали w pętach na Litwę. Gdy wrócił, nie dziw, iż z Jazdowem nic wspólnego już mieć nie chciał i całkiem nowy gród obmyślał stawiać.

Uradzono, iż do tego przedsięwzięcia muratora z wielkim doświadczeniem trzeba, a nowe siedlisko nad Wisłą trzeba wybrać starannie i rozważnie. A że słynny w tych czasach był mistrz murarski Kacper z dalekiego Śląska, na dwór księcia Bolesława w Legnicy, teścia Konrada, został posłany umyślny posłaniec – Bogdaszek z rodu Rysiów. Chłopak to był rezolutny a zaradny, i dobrze, bo droga była długa, trudna i niebezpieczna, przez dzikie ostępy i lasy pełne zbójców. Dostał on list i sakiewkę złota pełną na opłacenie przyszłych prac muratora, klaczkę osiodłał i wyruszył w towarzystwie wiernego psa Rozboja.

I choć gadali niektórzy, że Bogdaszko pieniądze sobie przywłaszczy i w świat z nimi ucieknie, książę odpowiadał tylko: „Złota nigdy rdza nie chwyci”, i spokojnie czekał na jego powrót.

Przez wiele dni i nocy przedzierał się dzielny Bogdaszko przez lasy, jednak w okolicach Kalisza wpadł razem z klaczką do dołu - pułapki wykopanej przez zbójców, i zdążył tylko do psa krzyknąć, by uciekał. Zbójcy, gdy zobaczyli ubogie szaty Bogdaszka, markotni byli bardzo, bo spodziewali się bogatego kupca, a nie takiego biedaka. Dokładanie go przeszukali, złota, srebra od niego chcieli, a on im odpowiadał, że szczerzłote ma tylko serce. Zbójcy klaczkę biedakowi zabrali, a jego litościwie puścili dalej. Gdy jednak Bogdaszek w krzakach poczekał, to i pies, i kobyłka zaraz go odnaleźli i w dalszą drogę ruszyli.

Gdy w końcu powrócił do Jazdowa z mistrzem Kacprem, wszyscy o przygody go pytali, a on o zbójcach opowiedział i o tym jak ich przechytrzył, sakwę ze złotem i list ukrywający w specjalnej psiej obroży.

Muratorowi pokazano rozległe obszary wzdłuż rzeki Wisły, a najbardziej podobały mu się te położone niedaleko wsi rybackiej Warszawa – miejsce od dawna upatrzone przez księcia Konrada na nowe siedzisko. Z jednej strony skarpa, z drugiej mokradła nieprzebyte, sprawiały lokalizację dogodną i bezpieczną. Mistrz Kacper długo krokami mierzył wszcz i wzdłuż pola, plany rysował, z księciem Konradem się naradzał, mury miasta wytyczał. I tak wybudowana w końcu XIII wieku Stara Warszawa z Rynkiem staromiejskim, siecią uliczek i barbakanem – w głównym swoim zarysie ostała się do dziś. Ostało się też z tych czasów piękne powiedzenie, określające człowieka o dobrym sercu, nieprzekupnego i prawdziwie szlachetnego: „Złota nigdy rdza nie chwyci”.

APM

LEGENDA O ZAPIECKU

Zdarzyło się dwieście lat temu, że w kamienicy między ulicami Piwną a Świętojską wybuchł pożar. Resztki domu rozebrano i urządzono plac, na którym handlowano gołębiami i przeróżnym ptactwem. Na ten targ trafił raz ojciec z synem, który najbardziej w świecie o tym marzył, by mieć gadającego kosa. Ojciec o kupnie ptaszka słyszeć nie chciał, a chłopczynek oddał na nauki do murarza.

Mały Kazik początkowo cały był zadowolony, bo liczył na to, że za zarobione grosiki kupi sobie kosa. Jednak murarzowa zaraz sobie Kazika zagarnęła, chłopca na posługi sobie z niego zrobiła. I tak Kazik zamiast uczyć się murarki, od białego świtu usługiwał murarzowej. A że baba skąpa była, to chłopaczyna głodny chodził ciągle i zmęczony, a grosika na swojego kosa ani jednego nie odłożył.

Aby zapomnieć o swoich smutkach i głodzie, wdrapywał się czasem na dach i z kominów spoglądał na miasto, na rynek, na rzekę. A że chudy był i zwinny jak kocię, potrafił wspiąć się i wcisnąć, gdzie tylko sobie upatrzył. Razu pewnego, gdy nie dostał ni śniadania, ni obiadu, wlaź na dach, spogląda w dół, a tam na targu kupcy zwijają już swoje kramy, tylko w jatce u rzeźnika tłum gości, bo ten akurat miał imieniny. Gości swoich mięsami raczy, piwa im co i raz dolewa, a zapach gotowanych flaków roznosi się po okolicy. Kazikowi aż się w głowie od tych zapachów zakręciło, zlaź na dół i skrył się za murem. Gdy nikt nie patrzył, wyskoczył z kryjówki, chwycił za pętko świeżutkiej kielbasy i zaczął wypychać ją za pazuchę, ale kielbasa końca nie ma, jak magicznym sznurkiem związana - ciągnie się i ciągnie.

Napchał już sobie pełny kaftan kielbasy, ale skrzynia ze specjałami się przewróciła. Huku narobił, ucieka, a po ulicy sznur kielbasy się za nim ciągnie, a pogoń za nim, a krzyki! W końcu szarpnął jeszcze raz, sznur oderwał, na rusztowanie się wspina, na mury. Niewiele myśląc prosto w komin wskoczył, szur, szur, zsunął się na sam dół i tam w spokoju kielbasy się najadł, a że krzyki w końcu ustały, to i syty po raz pierwszy od wielu tygodni - zasnął.

Dwa dni tak w kominie siedział, kielbasę całą zjadł, ale wyjść nie może, bo w dół się zsunął – łatwo, ale do góry wliźć z powrotem - nie ma jak. Nagle za ścianą głosy usłyszał, więc najpierw skrobać, potem walić coraz mocniej zaczął w ścianę. Gdy murarze cegieł kilka z zapiecka poluzowali i zobaczyli co to za duch tak ich straszy, ze śmiechu się pokładali, bo Kazik żałośnie wyglądał cały sadzą umazany, a łzy toczył jak grochy – trochę ze strachu, a trochę z radości, że niewola się skończyła.

Ostatkiem finał szczęśliwym był, bo murarz wziął w końcu Kazika na pomocnika murarskiego, rzeźnik wszystko wybaczył, bo po okolicy się rozniósł jakieżne kielbasy wyrabia i każdy chciał ich popróbować, zaś placyk, gdzie wszystko się działo, zaczęto nazywać Zapieckiem. Kazik za grosiki uczciwie zarobione kupił sobie gadającego kosa i akuratnie zadbał, by jego ptaszek nigdy nie był głodny.

APM

PĘKNIĘTY DZWON

Lato się kończyło na Kanoniej, gdzie kanonicy z pobliskiej archikatedry domy swe budowali, karcer u bramy Zamku o złych uczynkach, a cmentarz farny o duszach zmarłych przypominał, jesień zaś barwnie już ogrody na Kanoniej malowała, gdy czeladnik szewski, Kajetan, serce swe oddał córce ludwiszarza dworskiego, pięknej Maryni.

Panienka trzewiczki czerwone od Kajetana przyjęła, chętnym okiem na chłopaka spoglądała, a i ojciec Maryni lubił szewczyka, bo pracowity był i roztropny. A ojciec ten nie byle kim był, jeno samym mistrzem Danielem Tymem w całym kraju i za granicami rozślawionym, co figurę króla Zygmunta z brązu na wysokiej kolumnie postawił jak żywą. Pięknie robotę swą wykonywał, toteż zleceń miał więcej niż obrobić mógł, i pomocnika musiał zatrudnić. Nadarzył mu się Hans, czeladnik wędrowny, to i do roboty go przyjął, i tak już drugi rok pracowali razem. Ale Hans żądny był bogactwa i zaszczytów, i chytrze umyślił sobie za żonę wziąć błękitnooką Marynię, a warsztat po mistrzu Danielu, jego tajne receptury i długo wypracowywane tajemnice odlewnicze przejął.

Dostał mistrz Daniel zamówienie na dzwon do kościoła Jezuitów w Jarosławiu. Jakiego stopu użyć, by pieśń dzwonu pięknie modlitwy do nieba niosła - mistrz doskonale wiedział, ale praca powoli przebiegała, bo dzwon bogato miał być zdobiony. Mistrz więc formę z cegieł i gliny szykował, w wosku litery i ornamenty rzeźbił. Sam proporcje cyny i spiżu ustalał, formę w dole pod piecem umieszczał, ognia doglądał. Ale Hans, widząc jak Maryni oczy się do Kajetana śmieją, słysząc jak mistrz Daniel dobrze o chłopaku prawi, zakradł się nocą do pracowni i do tygla ze stopem na dzwon dodatkową porcję cyny dorzucił po złości, a do wina Kajetana – proszku białego. I jeszcze poszedł dla niepoznaki w miasto opowiadać, że z inną panną będzie się żenił.

Trzy dni konał Kajetan, trzy dni kończył swe dzieło mistrz Daniel. Dzwon wysoko zawieszono, rozkołysano, serce dzwonu w wieniec uderzyło. Dźwięk piękny się rozległ, ale tylko raz - dzwon pękł, bo zbyt twardy spiż nie wytrzymał drgań. Nie wytrzymało też serce Kajetana – zmarł, i pochowali go na cmentarzu farnym. Rok nie minął i Marynia do sióstr klarysek wstąpiła, i tam dożyła swych dni. A Hans? Ten zmysły postradał i w cztery niedziele od śmierci Kajetana nieżywego wyciągnęli go z Wisły.

Kto niestrachliwy i chciałby spotkać się z duchami z tej historii sprzed ponad trzech i pół wieku, niech przyjdzie ostatniego dnia października o północy na trójkątny plac za Archikatedrą Świętego Jana Chrzyciela. Mówią, że może co usłyszysz, może co zobaczysz. Choć dawno cmentarza tam już nie ma, jednak dzwon pozostał i przypomina co na Kanoniej się wydarzyło. Niech śmiałek stanie przy dzwonie, którego serce nie bije i powie swą modlitwę, a dzwon – choć niemy, prosto do nieba ją zaniesie.

APM

CIEŃ BASI GIŻANKI

W 1550 roku przyszła na świat córka Jana Gizy - burmistrza Starej Warszawy. Kochali rodzice małą Basię, ptasiego mleka jej nie brakowało, w dostatku rosła, jak królewskie dziecko. Ale ojcu się pomarło, a dziewczyna wyrosła na piękną jak malowanie. Zęby jak perły, usta jak róża, włosy jak ze złotych nici ciągnięte, a oczy jakby niebo błękitne w nich się przeglądało. Wielu konkurentów o rękę Basi Giżanki zabiegało, ale wdowa Anna – matka Basi z kwitem wszystkich odprowadziła, a pyszna była, a dufna, a w pogardzie śmiałków miała. „Dziewczę o królewskiej urodzie za króla tylko pójdzie” – tak mawiała i do zakonu sióstr Bernardynek Basię posłała na modlitwę, nauki i po ogładę.

A zdarzyło się tak, że król ówczas panujący - Zygmunt August, w smutku wielkim był i sromocie, bo żona ukochana, młodzianka Barbara Radziwiłłówna mu pomarła. Ze zgryzoty wychudł, wymarniał, aż dwór się martwił co z królem będzie, a ten tylko marzył, by choć we śnie żonę swą ukochaną zobaczyć. Ale był na dworze jeden pokojowy króla, co go Mikołaj Mniszech zwali, oddany on był królowi, a ani aniołów, ani diabła się nie bał. Poszedł tedy na powieśle do baby Koryckiej, znachorki z rodu wieszczyców, co takie rzeczy znała i widziała, że ludziom o nich lepiej nie wiedzieć. Coś nocami ustalali, sakwy ze złotem jej przynosił, a Korycka nad ogniem siedziała, coś warzyła, coś zamawiała.

Za dnia poszli zaś do zakonu, prosto do ogrodu, gdzie panny zacne w cieniu jabłonek odpoczywały, a wśród nich ta jedna najpiękniejsza. Znachorka tak do Giżanki mówi: „Podaruj mi panienko swój cień.” Zadziwiła się prośbą Giżanka, a baba pochyliła się tylko, coś zamamrotała, cień nożycami odcięta i uciekła. Wraca Giżanka do domu, matka z daleka przez okno patrzy – coś dziwnego z jej córeczką się dzieje, całkiem inakzej niż dawniej wygląda. A Basia w płacz, matce opowiada co się stało i matka już wie – duszę jej Basi złe porwało.

Czy złe, czy nie złe, fakt, że wieczorem Mniszech do komnaty króla się zakradł, cień Giżanki na ścianę rzucił, a król jakby ducha zobaczył – „Basiu, Basieńko”- woła, bo Giżanka bardzo podobna do zmarłej żony była. Usłyszała Basia Giżanka z Zamku wołanie, matce się wyrwała – „Za cieniem moim, za duszą moją, bieć muszę matuś”- i tyle ją widzieli. Giżanka na Zamku zamieszkała, oblubienicą króla została.

Dziewięć razy księżyc stanął w nowiu, jak córeczkę Barbarę mu powiła. Wiadomo jednak – Giżanka choć piękna, z rodu królewskiego nie była, więc odprawiono ją wkrótce i za mąż za kniazia wołyńskiego Michała Woronieckiego wydano, a ten królewską córeczkę jak swoją wychowywał, a nazwisko swoje jej dał, posag i uznanie.

Tak to życzenie dumnej burmistrzowej przewrotnie się spełniło, a czy szczęście z tego było i miłość, czy czary jeno i magia – nikt nam dziś nie powie, bo już niemal pięć wieków od wydarzeń tych minęło, i co prawda a co legenda – sami ocenić musicie.

APM

A NIOŁ W KRUŻGANKU

Zaraz po I Wojnie Światowej odnawiano mury Zamku Królewskiego, odnawiano krużganki. I natknęli się robotnicy na piętnastowieczne malowidło pod tynkami, malowidło nie było jakie, bo scenę zwiastowania przedstawiające. Anioł na tym malowidle twarz miał piękną, niby dziewczęcą, niby nieziemską. Rozpytywać ludzie zaczęli co to za malowidło, to i najstarsi mieszkańcy Warszawy o legendzie sobie przypomnieli i powiedzieli jak to było.

Był sobie raz Matias, terminator malarz przy mistrzu Łukaszu się uczący. Na razie jeno pigmenty mieszał, pędzle mył, ściany tynkował, ale o tym jeno marzył, co by mu mistrz chociaż ozdobę jaką namalować pozwolił. Z czasem mistrz przekonał się, że chłopak smykałkę w sztuce malarzkiej ma, to i nawet szaty pozwolił mu namalować albo i ręce. Dla Matiasa czas nastał dobry, bo i panna, w której się kochał chętna mu była, a i ojciec jej, pasamonik Gaudety łaskawym mu był, jeno oświadczył: „Agnus moją dostaniesz, kiedy wielce w swoim rzemiośle się okażesz i na czeladnika malarzkiego zdasz”.

Tak więc Matias jeszcze więcej do nauki był pilny, jeszcze więcej czasu w pracowni mistrza spędzał. Tak się raz stało, że do nocy czarnej przy robocie siedział, a gdy już wychodził, mistrz ostrzegł go, żeby żagiew ze sobą wziął, po ciemku po grodzie nie chodził, ceklarzy nie spotkał. Ale Matias tylko się roześmiał, że do domu przecie drogę zna, a jak strażników nocnych – ceklarzy spotka, to i do domu go doprowadzą, taka ich rola. Ale mistrzowi nie o tych ceklarzach chodziło, jednak chłopak już go nie słuchał. Szedł sobie w stronę domu, pewny że wie, gdzie jest, ale nagle się spostrzegł, że w całkiem odwrotną stronę idzie. Wraca, kluczy – jak nic zabłądził. A ciemno, choć oko wykol. Cóżmy nowe całkiem o błoto i kamienie zniszczył, złość i strach w panowanie go wzięli. Nagle z daleka światło zobaczył, ucieszył się, że kto mu pomoże. Jakież go przerażenie ogarnęło, gdy strażnicy zbliżyli się, a światło ich sine było, twarze straszne jak u bestii, pazury po niego wyciągają. Żal mu się zrobiło, że butny taki był, Agnusi swojej już nigdy nie zobaczy, a najbardziej to mu żal było, że portretu żadnego już nie namaluje i czeladnikiem nie zostanie. Już, już poddać się miał ceklarzom upiornym, gdy w oddali zajaśniało jakby świat wschodził. Zbliżyła się do nich postać cudna – ni dziewczyna, ni anioła, a ceklarze jak we mgle się rozpuścili. Dziewczyna nad Matiasem się pochyliła i mówi: „To jeszcze nie czas twój, czeladnikiem zostać ci trza, a potem i mistrzem. Idź, maluj ku chwale Pana”. O nic spytać się Matias nie zdążył, bo dziewczyna zniknęła, za to księżyc zza chmury się wychylił i jasno się zrobiło jakby w dzień.

Chłopak o spotkaniu swoim mistrzowi Łukaszkowi opowiedział, a ten pozwolił mu odmalować postać widzianą w sam raz o twarzy anioła, co w scenie Zwiastowania w królewskich krużgankach szykowali. A czy w końcu Agnusz za żonę pojął, to już sami sobie dopowiedzieć musicie. Malowidła zaś nie zobaczycie, bo w czasie II Wojny Światowej zniszczone zostało i już tylko ta legenda po nim pozostała.

APM

K OMU CHLEB SPLEŚNIAŁY STANIE ZA SPECJAŁY

Najstarsi mieszkańcy Warszawy pamiętają jeszcze, jak w czarnej kaplicy Baryczków w świętojańskiej farze, aż do 1939 roku, prosto pod nogami świętego posągu Pana Jezusa Cudownego leżał chleb. Ale nie taki zwyczajny, jeno kamienny, w siatkę ze srebra misternie opleciony, perłami przetykaną. Skąd ten chleb kamienny tam się wziął, kaj zniknął? Różnie ludziska gadają, bajki różne plotą, ale najpewniej tak to było...

Wracał raz z daleka prosto do Warszawy sam hetman Jan Sobieski na swojej kobyłce, kiej zaraz za bramą Krakowską zatrzymał go biedak i o chleba choć okrucy poprosił. Zdziwił się szlachcic śmiałości żebraka i pyta, czy po skórze nie boi się dostać bacikiem za takie zuchwalstwo, ale żebrak tylko smutno w oczy przyszłemu królowi popatrzył i rzekł, że głodnemu żaden ból niestraszny, gdy do grobu bliżej niż do stołu. Zafrasował się hetman, dziada przeprosił i chleba, co mu z drogi został, z sakwy wyjął. Patrzy – ale chleb czerstwy, stary, czy dziad taki chleb jeść chciał będzie? A biedak po rękach go wycierał i rzekł: „Obyś Panie sam nigdy nie zaznał, gdy chleb spleśniały stanie ci za dworskie specjały”, i znikł jak we mgle, choć to dzień jasny był, słoneczny. Hetman zasromił się jeszcze bardziej i zaszedł po rozum, że ten dziad niezwykły ani chybi był. Niby dziad – a nie dziad, niby w łachmanach – a czysty, niby stary – a młody. Przeląkł się o swą duszę, a jeszcze bardziej o dzieci sieroce, babki niedożywne, z głodu konających chorych i nędzników. Czem prędzej na Piekarską się udał, a tam u piekarczyka takie złożył zamówienie: „Napiec masz chlebów żytnich i razowych, bułek pszennych i rogalni maślanych, i wszystko to dziś jeszcze głodnym ludziskom rozdasz, ale tylko biednym, bogatych karmić nie trza”. Z góry za wiele dni dobrze zapłacił i na Zamek pojechał.

Rozeszło się po Starej Warszawie, rozeszło się po Nowej Warszawie, że jakiś głupiec nędzarzy karmi, chleby za darmo rozdaje. A mieszkał wtenczas niedaleko Rynku bogaty kupiec bakaliowy Bartłomiej Krupa. Obłudny a chytry był sknera, więc zaraz sobie umyślił, że za żebraka się przebierze i po chleb darmowy też pójdzie. Zdziwił się piekarczyk co to za żebrak z brzuszyskiem jakby wieprza sam połknął, ale ten na rany Jezusa samego zaczął przysięgać, że ani grosika w kieszeni nie ma, i wtenczas – jak inni – chleb ciepłutki, pachnący dostał.

Wraca do domu Krupa, a zadowolony z siebie, a oczy mu się świecą. Spod łachmanów bochen wyciąga, na stół kładzie, po nóż sięga, ale chleba ukroić się nie da. Chleb w kamień się zamienił, a kupiec grzech swój śmiertelny pojął i strach go zimny obleciał, bo na czyje rany przysięgał – wnet sobie parszywiec przypomniał. Jedno co dobre, że wstyd haniebny jak nigdy poczuł, że biedaków tak nikczemnie okradł. Co się z tym kupcem dalej działo, czy to on chleb kamienny pod cudowną figurą na 250 lat podłożył – nikt tego nie pamięta. Fakt, że gdy II Wojna Światowa wybuchła, chleb gdzieś zaginął, może znów cudownie w chleb się zamienił i głodnym został strawą? I zostało po nim jeno porzekadło: „Tylko prawdziwie głodnemu nawet chleb spleśniały stanie za dworskie specjały”.

APM

ZŁOTA KACZKA

U pewnego majstra na Starym Mieście pracował szewczyk imieniem Lutek. Chłopak był z niego pracowity, wesoły, jeno ubożuchny, że na nic pieniędzy mu nie stało. Pewnego dnia na wieczorynkę poszedł do jednego czeladnika, a tam jeden szewc stary był, co bając lubił, a legend znał jak nikt. Powiadał on, że na Ordynackiej, w podziemiach starego zamku, jest królewna w złotą kaczkę zaklęta, która temu, kto ją w Noc Świętojańską znajdzie, powie jak skarby i bogactwo wielkie zdobyć.

W Noc Świętojańską poszedł tedy Lutek na Ordynacką, spuścił się w dół Tamką, gdzie włąz do lochów prowadził. Straszno mu było, ale już postanowione - do lochów wniósł trzeba, zapalił więc świeczkę i w korytarz wąski, a kręty wkradł się. Błądził szewczyk, błądził, aż do piwnicy wysoko sklepionej z jeziorciem pośrodku dotarł. A tam – wielkie nieba – kaczką złotą, z piórkami niczym dukaty skrzącymi się. Coś zatrzepotało, zaszeleściło, i kaczką w księżniczkę precudną zaraz się przemieniła.

Ozwała się księżniczka i pyta jaki cel ma Lutek w swej wizycie. Ten oniemiały wyszeptał jeno, że każdy rozkaz księżniczki spełnić może. Wyciągnęła na to wielmożna kieskę stoma dukatami wypełnioną, potrząsnęła nią i nakazała szewczykowi wydać wszystko tw dzień jeden. Gdy mu to się uda, szewczyk otrzyma bogactwo niezmierzone, atoli pod jednym warunkiem – wszystkie dukaty na siebie ma wydać i ani groszem z nikim podzielić mu się nie wolno.

Lutek tyle w życiu biedował, że to zadanie łatwym mu się zdało, i nazajutrz puścił się na miasto. Stroje kupił piękne, włosy ufryzował, by jak hrabia jaki czy książę wyglądać. Wstąpił do gospody, i jadła, napitku kazał sobie przynieść tyle, że ledwie zdołał wszystko zjeść. Później na przejażdżkę za miasto wybrał się karetą, a wieczór w teatrze najprzedniejszym spędził. Północ blisko, a sakiewka wciąż pełna była. Wtem - ujrzał starca bezrękiego, co od wielu dni nic nie jadł, a los okrutny na zębry go skazał, choć na piersi orderzy wojenne błyszcząły. Lutek dobre miał serce, ręka od rozumu szybsza była, więc sięgnął do kiesy i starcowi garść złota sypnął. Nagle coś błysnęło, zagrzmiało i oczom szewczyka ukazała się księżniczka – a to na znak, że rozkazu nie spełnił i złotem swoim się podzielił.

Jednak wdzięczność serdeczna żebraka więcej znaczyła niż wszelkie skarby przez księżniczkę przyobiecane. Przepowiedział on szewczykowi, że dobre będzie miał życie i dostatnie, bo nie ten dukat daje szczęście co darmo przychodzi, ale ten co zarobiony ciężką pracą został. Jak przepowiedział, tak się stało – Lutek wkrótce na majstra poszedł, dobrze się ożenił, dzieci mądre wychował i długie lata w szczęściu przeżył. A złotej kaczki nikt już nigdy nie widział. I dobrze.

ZJ

LEGENDA O TARCZY I MIECZU

Dawno temu, w małej nadwiślańskiej wiosce była gospoda, którą prowadził Warsz - człowiek zacny i gościnny. Podróżnych przyjmował bez liku, a najwięcej gościło u niego flisaków, którzy Wisłą towary rozmaite spławiali. Ci, którzy nie po raz pierwszy mijali wioskę, wypatrywali, czy nie dojrzą gdzie małej Syrenki, która pluskała się czasem w rzece, a czasem w podmokłym bugaju. Najczęściej pływała ona jednak w pobliżu gospody, bo i ją Warsz chętnie gościł, a i śpiewu jej posłuchał, bo głosik miała piękny.

Syrenka, jako że mała jeszcze była, różne zabawy i psoty sobie urządzała. Towarzyszyła jej w tym przyjaciółka – srebrna rybka, której łuski błyszcząły jak lusterka. Pewnego dnia postanowiły z falami Wisły do wyścigów stanąć i rzuciły się do przodu, z prądem rzeki. Płynęły długo i chyżo, ale wnet na ich drodze pojawiły się bałwany morskie i rozdzieliły towarzyski serdeczne. Syrenka dopłynęła w końcu aż do Helu, a nie znalazłszy nigdzie swojej rybki – rzewnie zapłakała, i choć taka malutka – bałwanom rzuciła wyzwanie, że o przyjaciółkę walczyć będzie.

Nagle wychyliły się z fal morskich córy Bałtyku o włosach koloru wodorostów i oczach niczym morska toń. Przywiodły je trzy syrenie, które w słonej, morskiej wodzie zamieniały się w perły srebrzyste i z dala na dnie połyskiwały. Rozpacz i odwaga syrenki szczerze wzruszyła siostry. Pocieszały ją panny wodne i zabrały do bursztynowej groty swego ojca – władcy Bałtyku, co nad wszelkimi morskimi zjawiskami miał władzę. Potężny Bałtyk nakazał bałwanom zwrócić syrence jej przyjaciółkę i tak się stało. Jednak rybka – zazwyczaj zwinna i dziarska – leżała nieruchomo, niby martwa. Dobry władca uspokoił wszystkich – to jeno sól morza rybce zaszkodziła, a gdy tylko wypłynie na słodkie wody Wisły, natychmiast ożyje. Gdy nadszedł czas pożegnania, władca Bałtyku spojrzał poważnie na odważną Syrenkę i takie zadanie jej powierzył: tam, skąd przybyła, powrócić musi, bo w miejscu owym powstanie gród ważny, a z czasem miasto stołeczne, którego Syrenka strzec będzie. A że strażniczka oręża należytego potrzebuje, władca podarował jej na pożegnanie złotą tarczę, uplecioną z promieni słonecznych, i miecz srebrny z błysków lśniących fal ukuty.

Gdy Syrenka dotarła do swej wioski, powitali ją Warsz i inni mieszkańcy z radością, bo bardzo smutno im bez jej figłów i śpiewu było. Ale przyznać trzeba, że Syrenka podczas przygody bardzo wyrosła, zaś na jej broń lśniącą ludzie spoglądali ze zdumieniem. Na to Syrenka uniosła miecz nad głowę, tarczę wyciągnęła przed siebie i obiecała zawsze swym orężem osłaniać tę ziemię - i w rozkwicie, i w niedoli, tak by z każdej klęski gród syreni wydzwignąć się zdołał. I tak ją zapamiętano, a wiele wieków później, by kolejne pokolenia wiedziały o swej obrończyni, syrenka stała się herbem Warszawy.

Zaś panny wodne - długo jeszcze - z pereł, co z jej łez powstały, robiły sobie naszyjnik, zausznice, naramiennik i inne precjoza, wspominając niezwykle z dzielną Syrenką spotkanie.

ZJ